

Patataj, o patataj

Kobieca, zalotna i szalona w życiu prywatnym, a na scenie odważna, ekstrawagancka, nie bojąca się artystycznych eksperymentów, czy kontrowersyjnych kostiumów. To Maryla Rodowicz, o której powstał film dokumentalny.



„Maryla. Tak kochałam”, reż. Michał Bandurski i Krystian

Kuczkowski

Bożena U. Zaremba (*Floryda*)

Zwróciła na siebie uwagę zdobywając pierwszą nagrodę na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie w 1967, po czym szturmem zdobyła polską estradę przebojem „Małgośka”, za który na 13. Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie (1973) otrzymała Grand Prix du Disque oraz nagrodę publiczności. Maryla Rodowicz od tego czasu nagrała około 2 tys. piosenek, z których dziesiątki, a może nawet i setki stały się przebojami śpiewanymi przez całą Polskę. Oprócz jej charyzmatycznej osobowości scenicznej do jej sukcesu przyczynili się także wspaniali tekściarze i kompozytorzy, z którymi przez wiele lat współpracowała: Katarzyna Gärtner, Agnieszka Osiecka, Ernest Bryll, Seweryn Krajewski, Magdalena Czapińska czy Katarzyna Nosowska.

Film dokumentalny „Maryla. Tak kochałam” wprowadza nas w jej prywatne życie, skupiając się na najbardziej znanych związkach z mężczyznami, których zapamiętała kochała, choć żadnego z nich nie była w stanie, czy też nie chciała zatrzymać na zawsze. Najpierw był cudzoziemiec, taki „na jej gust”, choć „nie z Cheetaway, nie z Syracuse”, ale jak to bywa w związkach na odległość, nie przetrwał ciągłego jeżdżenia tam i z powrotem. Wtedy pojawił się znany aktor, który zaimponował jej wspaniałymi umiejętnościami jazdy konnej. Romans z rajdowcem

samochodowym, znanym w PRL-u jako „czerwony książę”, był głośny, ale krótki. Rodowicz, podatna na męski czar, uległa potem diabelsko przeszywającemu wzrokowi krakowskiego reżysera teatralnego. I „choć tyle się zdarzyło, to do przodu wciąż wyrywa głupie serce” i związała się potem na długo z pewnym biznesmanem. Jednak jej niespokojna dusza i całkowite oddanie się karierze przeszkodziły w jakiejś tam stabilizacji i spowodowały rozpad długotrwałego małżeństwa. Rodowicz opowiada o tych relacjach w sposób otwarty i szczery. Czy ten obraz jest jednak pełny? Wydaje się, że pewne sprawy zostały przemilczane albo z filmu wycięte. Niektóre przytoczone historie nie zgadzają się też z ogólnie dostępnymi informacjami. Czy ten obraz jest więc prawdziwy? To jest w końcu jej punkt widzenia. Występują co prawda jej dwaj byli partnerzy, ale są dżentelmenami i starają się być dyplomatyczni, a brakuje głosu trzech pozostałych – podobno jeden się nie zgodził na udział w filmie, drugiego nie zaproszono, a trzeci wycofał się w ostatniej chwili. Być może też artystka chciała zachować pełną kontrolę nad ciągle tworzonym przez siebie *image*. Z niektórych wypowiedzi osób pokazanych w filmie można jedynie snuć domysły co do drugiej strony medalu.



„Maryla. Tak kochałam”, reż. Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski



„Maryla. Tak kochałam”, reż. Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski

Tytułowe „Tak kochałam” nie wydaje się odnosić jednak wyłącznie do tematu prywatnych związków artystki. Między wierszami, między kadrami filmu rysuje się jeszcze inna strona miłości Maryli Rodowicz – miłość do piosenki, do sceny, do publiczności, do ciągłego tworzenia sztuki i tworzenia siebie. Poznajemy więc, choć stosunkowo powierzchownie, kulisy jej artystycznej współpracy z dwoma wybitnymi artystkami – poetką i kompozytorką, z którymi stworzyły „trio blond” i tak niezapomniane przeboje, jak „Małgośka” czy „Trzeba mi wielkiej

wody”. Pojawia się anegdotyczna historia o scenicznej konkurencji Maryli Rodowicz z inną znaną piosenkarką. Jest także rozmowa z kostiumolożką, która tworzyła przez wiele lat prowokacyjne, ekscentryczne kreacje sceniczne piosenkarki.

Twórcy filmu, Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski, opowiadają historię Maryli Rodowicz stosując tradycyjny, chronologiczny sposób narracji: od narodzin w Zielonej Górze, dokąd jej rodzice zostali przesiedleni z Wilna, poprzez pierwsze sukcesy, kilkudziesięcioletnią karierę, historie kolejnych życiowych partnerów, aż po czasy współczesne. To wszystko na tle obrazów przede wszystkim z lat PRL-u. Dla tych, którzy żyli w tamtych czasach i je dobrze pamiętają to podróż sentymalna w świat spódnic bananowych, Fiata 125p i Malucha, festiwali piosenki i piłkarskiego szaleństwa. Młode pokolenie ma okazję posmakować tamtych klimatów, z dala od tzw. wielkiej polityki. Bo ta mała gdzieś się tam przewija, chociażby w historyjce o pewnym liście protestacyjnym, w anegdocie o polskim polityku, który usilnie próbował wyciągnąć od piosenkarki numer jej telefonu, czy relacji z podróży do tzw. „demoludów” (zdjęcie z komunistycznym przywódcą zza oceanu, zagląającego w dekolt gwiazdy to istna perełka).



„Maryla. Tak kochałam”, reż. Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski

Kobieca, zalotna i szalona w życiu prywatnym, a na scenie odważna, ekstrawagancka, nie bojąca się artystycznych eksperymentów, czy kontrowersyjnych kostiumów, z kiczu tworzyła często atut. Ale nie chciała „skosztować tak zwanej życiowej mądrości” i twierdzi, że uczenie się na błędach jest nudne. Czy więc Rodowicz naśladowała teksty swoich piosenek i wprowadzała je w swoje życie, czy też autorki tekstów znały ją na tyle dobrze, żeby inspirować się jej życiem? Może trochę i jedno, i drugie, w każdym razie to właśnie jej piosenki wydają się

być najlepszym tego życia komentarem. I chociaż stroje się zmieniały, długie blond włosy i opadająca na oczy grzywka pozostały niezmiennie. „Dla nas diabeł, dla nas raj, patataj, o patataj, dla nas anioł, dla nas maj, patataj, o patataj...”.

*

Więcej informacji na temat festiwalu:

<https://www.austinpolsishfilm.com/>

*

Zobacz też:

Muzyka na ten świat?

Muzyka na ten świat?



Leszek Możdżer podczas koncertu w Auschwitz, kadr z filmu „Chopin. Nie boję się ciemności”

Gdy słowa już daremne, myśli daremne, a wyobraźni nie chce się już wyobrażać, jeszcze tylko muzyka. Jeszcze tylko muzyka na ten świat, na to życie.

Wiesław Myśliwski „Traktat o łuskaniu fasoli”

Bożena U. Zaremba *(Floryda)*

Czy muzyka może zmienić nas? Czy muzyka może zmienić świat? Te pytania możemy sobie zadawać oglądając film dokumentalny pt. „**Chopin. Nie boję się ciemności**” w reżyserii i według scenariusza Joanny Kaczmarek, przedstawiający międzynarodowy projekt zagrania kompozycji Fryderyka Chopina przed publicznością zgromadzoną w miejscach szczególnie naznaczonych historią. Główni bohaterowie tego dokumentu to trzech pianiści: Leszek Możdżer, znany polski muzyk jazzowy, Jae-Yeon Won z Korei Południowej, laureat Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Ferruccio Busoniego w 2017 r. oraz Fares Marek Basmadji, Syryjczyk polskiego pochodzenia, były pianista koncertowy (m.in. uczestnik XVI Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w 2010 r.), obecnie pracujący w Anglii jako programista.

Mimo geograficznego i kulturowego oddalenia, łączy ich pasja do muzyki, szczególnie do muzyki Chopina, którą tym razem traktują jako narzędzie do osiągnięcia szlachetnych celów: „odczarowanie” miejsc związanych ze zbrodniami wojennymi, krwawymi działaniami militarnymi, albo tragicznymi w skutkach politycznymi konfliktami, w wyniku których zginęły miliony ludzi oraz przyniesienie ulgi ludziom dotkniętym bezpośrednio czy pośrednio tymi tragediami. Osnową opowieści są obrazy

przedstawiające te miejsca – tory kolejowe do byłego nazistowskiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz, potem zniszczone w wyniku kilkuletniej wojny syryjskie miasto Aleppo czy most, który bardziej dzieli niż łączy będące od 70 lat w stanie wojny Koreę Południową i Północną.



Jae-Yeon Won podczas koncertu w Korei, kadr z filmu „Chopin. Nie boję się ciemności”



Most dzielący dwie Koree, kadr z filmu „Chopin. Nie boję się ciemności”

Pianiści mają przed sobą trudne zadanie, ale podchodzą do niego z zapałem i przekonaniem o magicznym działaniu muzyki Chopina. Leszek Możdżer, ćwicząc na pianinie ustawionym na łące, gdzieś na mazurskim odludziu, twierdzi, że przeszłość może być dla nas nauką, a muzyka posiada moc uzdrawiania rzeczywistości i przez to stworzenia jej lepszej wersji. Opowiada o sile wytwarzanego podczas grania rezonansu, który działając na człowieka przynosi spokój i harmonię. Fares Marek Basmadji, pokazany przy instrumencie w swoim londyńskim mieszkaniu, poprzez koncert w Bejrucie chce zwrócić uwagę świata na los uchodźców (historia związana z tym miastem przynosi dodatkowy poziom odniesienia). Jae-Yeon Won, którego

oglądamy w jeszcze innej scenerii, na sali koncertowej, wierzy w terapeutyczne działanie muzyki i ma nadzieję muzyką pomóc ludziom ukoić ich ból, choćby na chwilę. Czy im się to udaje? Na samym początku filmu dowiadujemy się, że został on zrealizowany w 2020 r. podczas trwającej pandemii, której ograniczenia w widoczny sposób narzuciły formę całego projektu. W momencie kulminacyjnym, każdy z pianistów gra ten sam utwór Chopina, *Scherzo No. 3 cis-moll, Op. 39*, dla bardzo skromnej garstki słuchaczy w otwartej przestrzeni. Ich reakcja może pomóc ocenić sukces projektu. W końcu „ratując jedno życie, ratujesz cały świat”.



Fares Marek Basmadjj podczas koncertu w Bejrucie, kadr z filmu „Chopin. Nie boję się ciemności”

Film stara się zwrócić uwagę na uniwersalność przedstawionych losów i sytuacji pokazując podobieństwa, np. w doświadczeniu

wojennej traumy, która przechodzi na kolejne pokolenia, czy też w emigracyjnym losie i wielokulturowym pochodzeniu Chopina i Basmadżiego. Pewne paralele pokazuje przez zestawienie wizualne, np. drutu kolczastego wokół Auschwitz z podobnym, ustawionym przy granicy koreańskiej albo z... pięciolinia. Z drugiej strony, pokazuje kontrasty, które uwypuklają koszmar historii: czyste, zadbane angielskie miasto z jednej strony i gruzy w Aleppo i slumsy z uchodźcami syryjskimi w Libanie z drugiej, albo rozdźwięk między pięknem natury a surowym wnętrzem obozowych baraków. Elementem scalającym film jest muzyka, nie tylko Chopina, ale także zaaranżowane przez Leszka Możdżera tło muzyczne, w którym zachodnia melodyka miesza się z bliskowschodnimi rytmemi i skalą pentatoniczną dawnych kultur Azji, podkreślając tym samym jedność w różnorodności.

To przeplatanie i łączenie się historii i kultur znakomicie ilustruje scena, w której Fares Basmadji przygotowuje się do koncertu i prezentuje do kamery haftowany w tradycyjne wzory syryjskie kaftan, zaprojektowany przez jego matkę, Polkę. Z komentarza pianisty dowiadujemy się, że zawsze przywiązywała dużą wagę do tego, by pielęgnował swoje korzenie, zarówno polskie, jak i syryjskie. Z namaszczeniem wygładza piękny kaftan, a potem z równym skupieniem go zakłada, upewniając się, że dobrze leży. W tym przywiązaniu do tradycji połączonym z szacunkiem dla historii, muzyki, słuchacza i wreszcie dla podniosłości chwili jest coś z nastroju modlitwy.

Mnie jednak ciągle niepokoi myśl czy muzyka może pozytywnie wpłynąć na postawy moralne. Od osiemdziesięciu lat zastanawiamy się nad tym, jak to możliwe, że ten sam naród wydał kompozytora „Wariacji Goldbergowskich” jak i barbarzyńców, którzy zaplanowali i wprowadzili w życie niespotykane do tej pory ludobójstwo. Co więcej, mordując innych, potrafili jednocześnie Bachem się zachwycać, wzruszać, pewnie nawet grywać. Być może od muzyki możemy jedynie oczekiwać, że da nam możliwość ucieczki, gdy „słowa już daremne”. A wartość filmu leży między innymi w tym, że inspiruje do tego, by dopisać jego dalsze odsłony, a przesłanie sprowadzić na własne podwórko.

*

Film będzie można zobaczyć podczas 17 Festiwalu Polskich Filmów w Austin.

Więcej informacji na stronie

festiwalu: <https://www.austinpolsishfilm.com/>

O filmie „Wieczny tułacz” Grzegorza Królikiewicza

Pamięci bohatera filmu Tadeusza Jaworskiego, zmarłego 11 lipca br. oraz reżysera Grzegorza Królikiewicza, który odszedł dwa miesiące później, 21 września br.



Grzegorz Królikiewicz (z lewej) i Tadeusz Jaworski (z prawej), Toronto 28.09.2011 r., fot. Studio Filmowe „N” z arch. Grzegorza Królikiewicza.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Film dokumentalny w reżyserii Grzegorza Królikiewicza „Wieczny tułacz”, ma formę filmowego wywiadu-rzeki przeprowadzonego z mieszkającym wiele lat w Toronto Tadeuszem Jaworskim, reżyserem-dokumentalistą, absolwentem pierwszego rocznika łódzkiej Filmówki.

Powstawał długo, kręcony był partiami. Pomysł, aby nakręcić tego niezwykłego człowieka z barwnym życiorysem i świetną

pamięcią miał inny absolwent łódzkiej szkoły filmowej też zamieszkały w Toronto, Michał Maryniarczyk, który wraz z operatorem Zbigniewem Pietrzkiem odwiedzał Jaworskiego z kamerą. Wydaje się, że nie mieli koncepcji filmu. Bardziej interesowała ich chęć zarejestrowania opowiedzianej przez bohatera, bogatej w przeżycia i doświadczenia, historii. Nie ma więc zmiany miejsca, całość odbywa się w tych samych „dekoracjach”. Pracę nad filmem przerwała nagła śmierć Michała Maryniarczyka w wieku 54 lat, w 2006 roku. Nagrany materiał przywiózł do Łodzi Zbigniew Pietrzek i pokazał Grzegorzowi Królikiewiczowi, wykładającemu wówczas w łódzkiej Szkole Filmowej. I tu się zaczyna kolejna historia, zbieg okoliczności... czy metafizyczna nić łącząca reżyserów różnych pokoleń – Jaworskiego i Królikiewicza.

*- Kiedy zdawałem do Szkoły Filmowej w ostatnim etapie pojawiła się eliminująca mnie tajemnicza intryga, która przesądzała o mojej przegranej – wspominał Grzegorz Królikiewicz. - Z taką świadomością przystąpiłem do finiszu, jakim była próba dokonania przez kandydata osobistej oceny filmu dokumentalnego „Źródło” Tadeusza Jaworskiego. Zachwyciłem się i po projekcji w czasie jego analizy, kiedy każdy z kandydatów był za swoje interpretacje oceniany, przystąpiłem do szturm i wygrałem finisz. Z autorem „Źródła” się nie poznałem. A przecież połączyła nas przeżywana przeze mnie wdzięczność, której On nie był świadom: to On „przyjął mnie do Szkoły”.**

Kiedy po latach przyszedł do mieszkania Grzegorza Królikiewicza jego młodszy kolega operator z Kanady z nagraniami rozmów z Tadeuszem Jaworskim, łódzkiemu reżyserowi zadrżało serce. – *To ja mam zrobić film, w którego nagraniach nie brałem udziału. Gdyby nie ta „nić metafizyczna” nigdy nie miałbym odwagi.* **

Grzegorz Królikiewicz napisał scenariusz filmu. Szczegółowo przejrzał dostępne archiwa, aby znaleźć potrzebne dla ilustracji filmowej fotografie, dobrał przepiękną muzykę, wzbogacił o dźwięki burz, tętniącego deszczu, ludzkich kroków. Kiedy film był gotowy pojechał do Toronto, aby pokazać go Tadeuszowi Jaworskiemu i uzyskać potwierdzenie dla sposobu, w jaki przedstawił jego życie i dorobek artystyczny. Wtedy po raz pierwszy się spotkali. Dla wygnańca z Polski film ten był bezcennym darem.



Grzegorz Królikiewicz (z lewej) i Tadeusz Jaworski, Toronto, 30.09.2011, fot. Studio Filmowe „N” z arch. Grzegorza Królikiewicza.

„Wieczny tułacz”

Bohater jest w swoim mieszkaniu, w tle półki z książkami, fotografie rodzinne, meble. Snuje się opowieść o Podolu, zamęcie i tragediach wojennych, studiach w Szkole Filmowej, pracy na wieloma ciekawymi projektami, o dalekich podróżach i poznawaniu odmiennych kultur. Tadeusz Jaworski swoim opisem buduje nastrój, stwarza sytuacje, dramatyzm, przekazuje fakty, wątpliwości i uczucia. Traktuje język jak kamerę, raz są zbliżenia, innym razem dalekie plany. Widać, że ma świetną, filmową pamięć, gdyż zapamiętał wiele detali, dzięki czemu widz w swojej wyobraźni może przenieść się w świat ze wspomnień reżysera.

Każda bruzda na twarzy tego wiekowego człowieka, jest zapisem dramatów i trudnych życiowych wyborów, ale oczy są żywe i kryją w sobie dużo mądrości. Opowieść toczy się swoimi torami, głos prowadzi przez meandry historii, a na ekranie pokazują się stare fotografie rodzinne, zdjęcia obrazujące bezmiar bestialstwa wojennego, mapy, fotografie z okresu studiów, kadry z filmów, fotografie z podróży i z pracy nad spektaklami Teatru Telewizji, a potem nagłówki w gazetach. Słysząc głosy ludzi, stuk maszyny do pisania. W oczach Jaworskiego iskrzy się wciąż żal, za pozbawienie ojczyzny. Obrazowi i opowieściom towarzyszy pięknie wkomponowana w całość muzyka Gustawa Mahlera.

Tytuł „Wieczny tułacz” nawiązuje do legendy Żyda wiecznego tułacza, który nie mógł stracić życia, gdyż zgubił śmierć. Błądził zatem w nieskończoność, przyglądając się życiu innych, sam wiecznie poszukując swojej drogi. Tułaczka po świecie była karą za znieważenie Chrystusa idącego z krzyżem na Golgotę. Kara przeszła na następne pokolenia.

Tadeusz Jaworski w filmie wyjaśnia swoje pochodzenie, opowiada o Chazarach, przytacza historię swojego przodka, którego król Jan III Sobieski nazwał szlachetnym człowiekiem, a swoje słowa kazał wyryć na bawolej skórze, wiszącej w rodzinnym domu na ścianie. Mówi o Czortkowie na Podolu, w którym się urodził i wychował, o pierwszych doświadczeniach z kinem, a potem o dramacie wojny. Widz dowiadyuje się o

szlachetności księdza katolickiego, który dał całej rodzinie nową tożsamość, aby ją chronić. Znalazł groby wymarłej rodziny Jaworskich w Kobyłowłokach i dzięki temu rodzina późniejszego reżysera, otrzymała nową historię do piątego pokolenia wstecz.

Tadeusz Jaworski wychowany na Mickiewiczu i Sienkiewiczu, głęboko osadzony w polskiej kulturze, czuł się Polakiem. Dzięki studiom w PWSFiT w Łodzi wszedł w środowisko ludzi kulturotwórczych, którzy próbowali dźwignąć system moralno-społeczny z ruin wojny. Sam się do tej działalności aktywnie włączył, a jego filmy pokazywały najwyższy kunszt artystyczny filmowego warsztatu, przy mocnym podkreśleniu roli społecznej w rozwiązywaniu ludzkich konfliktów.

Reżyser opowiada o swoich spotkaniach z Bertoldem Brechtem w Berlinie i komplikacjach z tego powodu po powrocie do kraju, ze względu na podejrzenia o współpracę z obcym wywiadem. W konsekwencji musiał zrezygnować z pracy w Wytworni Filmów Dokumentalnych w Warszawie. Widz dowiaduje się o roli Prymasa Stefana Wyszyńskiego i o katolickim wątku w twórczości reżysera, o odwilży po 1956 roku, o podróżach do Afryki i Azji, o filmach dokumentalno-społecznych z lat 60, teatrach telewizji. I o wielkiej nagonce po opublikowaniu artykułu „Dwa oblicza twórcy”. W atmosferze 1968 roku okazywało się, kto był prawdziwym przyjacielem, a kto nie. Jaworski opowiadając o dramacie człowieka, który jest zmuszony

do opuszczenia kraju w czasie, kiedy już prawie wspiał się na zawodowy Olimp, a także o rozczarowaniach związanych z postawą bliskich osób – nawet po 40 latach ma łzy w oczach, tak to są dla niego silne emocje. Film kończy się wyjazdem z Polski w 1968 roku i refleksją bohatera:

*Idę do kościoła, siadam w pustej ławce i przeżywam swoją własną sprawę i komunikację z Bogiem. W atmosferze milczenia. Ciszy. (...) Najważniejsze dla mnie jest... być człowiekiem. To jest moją dewizą, bycie dobrym człowiekiem.****

Film miał swoją premierę w 2012 roku, kiedy po raz pierwszy od wyjazdu z kraju, po 44 latach Tadeusz Jaworski przyjechał do Polski, by odebrać Odznaką Honorową „Bene Merito”.

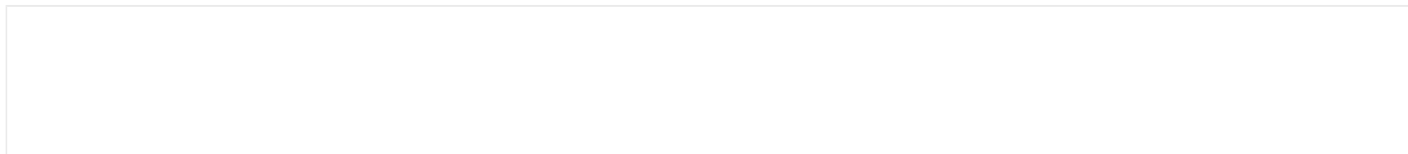
W kinie Kinematograf w Muzeum Kinematografii w Łodzi, przez pięć dni miał wówczas miejsce przegląd filmów dokumentalnych i widowisk telewizyjnych reżysera-wiecznego tułacza.

Tadeusz Jaworski zmarł w wieku 91 lat 11 lipca tego roku, a dwa miesiące po nim 21 września w wieku 78 lat odszedł Grzegorz Królikiewicz. Pozostał po nich film „Wieczny tułacz” i nić metafizyczna, która ich połączyła.

* cyt. Grzegorz Królikiewicz, *Wieczny tułacz*, scenariusz filmu dokumentalnego, produkcja SF „N”, sp. z o.o. 2010, (w:) Tadeusz Jaworski. *Wieczny tułacz*, wyd. Muzeum Kinematografii, Łódź 2012.

** cyt. tamże

*** cyt. tamże



„Wieczny tułacz”

Reżyseria: Grzegorz Królikiewicz

Drugi reżyser: Michał Maryniarczyk

Scenariusz: Grzegorz Królikiewicz

Operator: Zbigniew Pietrzakiewicz, Zdzisław Kaczmarek

Montaż: Jarosław Kamiński, Justyna Król

Muzyka: Gustaw Mahler

Producent: Studio Filmowe „N” Sp. z o.o.

Film można będzie obejrzeć w listopadzie w ramach Austin Polish Festival oraz Toronto Polish Festival.

<http://www.austinpolfilm.com/>

<http://ekran.ca/>

O samotności kobiet: „Dzikie róże” w reżyserii Anny Jadowskiej.

Recenzja filmu

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Dzikie róże” to film z jednej strony smutny i przygnębiający, ale zarazem dojmująco prawdziwy. Uświadamia, że nie można żyć „w zawieszeniu” i odsuwać od siebie bolesne fakty. Prawdziwa dojrzałość polega na mierzeniu się z życiem.



Marta Nieradkiewicz w filmie „Dzikie róże”, fot. Alter Ego Pictures.

Autorskie kino Anny Jadowskiej

Filmy Anny Jadowskiej – zarówno dokumentalne, jak i fabularne – mają znamiona kina autorskiego, począwszy od offowego „Dotknij mnie” (2004), który zrealizowała podczas studiów wspólnie z Ewą Stankiewicz czy debiutu o znaczącym tytule: „Teraz ja” (2006), na „Dzikich różach” kończąc. Owe cechy charakterystyczne to skupienie na postaciach kobiecych, a także nieśpieszna i nieoczywista quasi-dokumentalna narracja. Bohaterka debiutanckiego „Dotknij mnie” poszukuje sensu życia i swojego miejsca na ziemi, podobnie jak inne kobiety w filmach Jadowskiej. Ten temat pojawia się ciągle w jej twórczości, także w najnowszym obrazie „Dzikie róże”.



Marta Nieradkiewicz na planie „Dzikich róży”, fot. Alter Ego Pictures, Filip Zawada.

Dojrzewanie do macierzyństwa

Nad filmem „Dzikie róże” Anna Jadowska pracowała przez cztery lata. Najpierw dość długo powstawał sam scenariusz filmu, który – jak zwierzała się reżyserka podczas spotkania z publicznością festiwalu T-Mobile Nowe Horyzonty – był próbą zmierzenia się z własnym macierzyństwem. Pierwotny zamysł był następnie rozwijany na zagranicznych warsztatach scenariuszowych.

Zamykałam prace nad scenariuszem z moim profesorem z łódzkiej Filmówki – Andrzejem Melinem, który pozwolił zobaczyć tę historię jego oczami. Nie było to doświadczenie przyjemne – przyznała – ale sama bym nigdy nie dostała się tam, gdzie mnie – że tak powiem – kopnął.

Nigdy się nie dowiemy, jaki był wygląd scenariusza w jego pierwotnej postaci, możemy jednak uznać, że pracując nad nim tak długo i z taką pokorą, reżyserka miała dość czasu, aby wiele spraw przemyśleć i w rezultacie zaprezentować widzom kino pogłębione i dojrzałe.

Bohaterka „Dzikich róż”, Ewa, skrywa pewną tajemnicę, o której dowiadujemy się dopiero na koniec opowieści. Cała narracja ma więc posmak odsłanianej stopniowo tajemnicy. Otóż Ewa, zagrana przez Martę Nieradkiewicz, aktorkę wcześniejszego filmu Jadowskiej: „Z miłości”, jest tym razem delikatną, wycofaną dziewczyną, wychowującą (z pomocą matki) dwoje małych dzieci. Mąż Andrzej (Michał Żurawski) pracuje za granicą, w domu bywa rzadko i właśnie przyjeżdża na komunię córki. Rodzina mieszka na wsi, w nieukończonym, nieprzytulnym domu, w którym zamiast drzwi jest folia i który sprawia wrażenie dość odpychające. Wszystko tutaj tchnie obcością i tymczasowością. Nic zatem dziwnego, że bohaterka ucieka z dziećmi na łono natury, pracując na plantacji dzikich róż. Dzieci znajdują się zazwyczaj w pobliżu, ale podczas jednej z takich wypraw ginie mały Jaś i przeżyty w związku z tym dramat w sposób istotny wpłynie na życie i decyzje bohaterki. Zanim to jednak nastąpi, kobieta zachowuje się trochę jak somnambuliczka: ciągle smutna, wyobcowana i zatopiona w myślach, niewiele mówi. Posłuszna matce i zdominowana przez męża, lekceważona i na przemian bardzo kochana przez córkę – sprawia wrażenie osoby kompletnie bezwolnej. Dopiero wstrząs związany z utratą dziecka sprawi, że młoda kobieta obudzi się z marazmu i zacznie odważnie mówić o swoich problemach, a także podejmować samodzielne decyzje.

Kadr z filmu „Dziki róża”.

Samotność kobiet

Ten film to znakomite portrety psychologiczne trzech pokoleń kobiet. Zapewne to nie jest przypadek, że Anna Jadowska jest również autorką filmu dokumentalnego „Trzy kobiety” (2013), bo jej ostatni film, tym razem fabularny, opowiada w gruncie rzeczy o samotności kobiet – o braku miłości i wielkiej za nią tęsknocie. To film o samotnym dojrzewaniu do macierzyństwa – procesie trudnym i bolesnym.

O tym wszystkim mówi Jadowska środkami niezwykle subtelnymi. Nieśpieszna narracja daje widzowi przestrzeń do refleksji. Swoista klamra i atmosfera tajemnicy, która towarzyszy bohaterce, utrzymują dramatyczne napięcie, prowadzące do kulminacji i rozwiązania. Dominują zbliżenia twarzy bohaterek, mające wewnętrzny dramatyzm bliski filmom Bergmana, takim jak „Persona” czy „Twarzą w twarz”.

Dialogi są bardzo oszczędne, toteż słowa, które padają, mają wagę szczególną. Najmłodsza a bohaterek – Marysia, zagrana wspaniale przez niezwykle dojrzałą Natalię Bartnik, podczas spowiedzi zwierza się księdzu ze swego największego grzechu, mówiąc, że nie kocha rodziców. I w istocie sama czuje się

niekochana, co objawia się atakami agresji. Sądzi, że spowiednik będzie tym wyznaniem wstrząśnięty równie mocno, jak ona sama, ale on to bagatelizuje, zwracając uwagę na formę spowiedzi, nie na treść... Również główna bohaterka mówi niewiele, toteż kiedy wykrzykuje mężowi, że ich dom nie jest prawdziwym domem, że jest formą bez treści, Andrzej czuje tylko rozczarowanie i złość, że żona nie docenia poświęcenia, z jakim zarabia na rodzinę. Najbardziej stłumiona jest postać matki (w tej roli znakomita Halina Rasiakówna), która w milczeniu znosi wybuchy złości wnuczki i własnej córki. Ona wie, że inaczej być nie może, że trzeba się po prostu dostosować i przyjąć w pokorze to, co niesie los. Cóż innego mogłaby zrobić ta równie samotna, a przecież atrakcyjna jeszcze kobieta...



„Dzikie róże”, scena zbiorowa, na pierwszym planie Halina Rasiakówna.

„Dzikie róże” to film z jednej strony smutny i przygnębiający, jak los jego bohaterek. Z drugiej - dojmująco prawdziwy. Uświadamia, że nie można żyć „w zawieszeniu” i odsuwać od siebie bolesne fakty. Prawdziwa, dojrzałość polega na mierzeniu się z życiem. Kiedy Ewa budzi się z letargu, przestaje uciekać od rzeczywistości i podejmuje trudne wyzwanie, odczuwamy jednak ulgę, bo taka bohaterka ma szansę zrobić coś sensownego ze

swoim życiem.

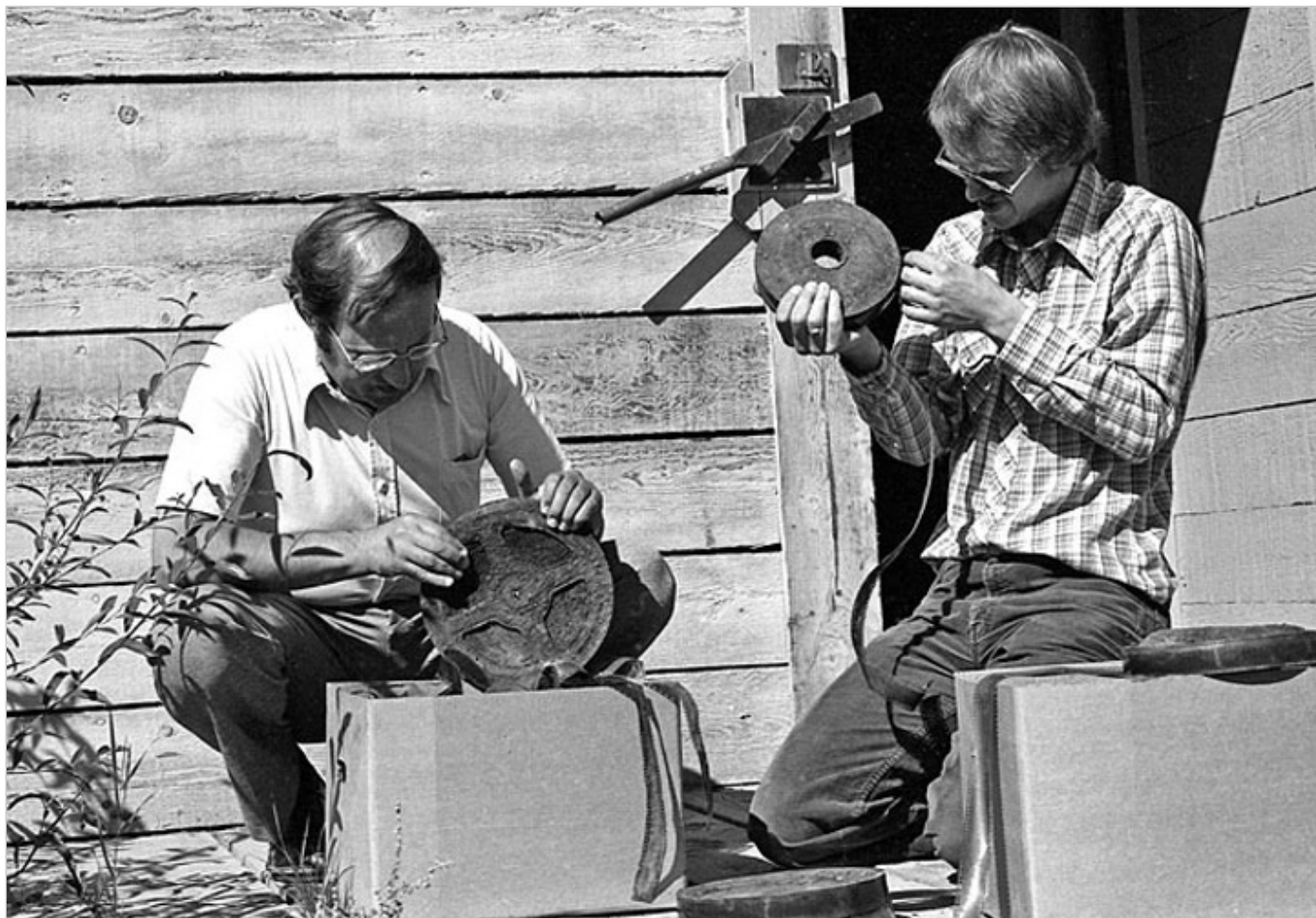
Swoją urodę i symboliczną wieloznaczność film zawdzięcza także zdjęciom Małgorzaty Szyłak, która nie tylko pokazuje bohaterów ze szczególną uważnością (zwłaszcza postaci kobiece), ale potrafi uzyskać ciekawe efekty, zderzając ludzkie problemy z obrazami dzikiej natury. Chodzi nie tylko o tytułowe dzikie róże – symbol wieloznaczny, uosabiający i dzikość i piękno, ale także o las, zwłaszcza w scenach nocnych poszukiwań, kiedy nabiera on walorów romantycznej frenezji. Owa łączność człowieka z naturą staje się nie tylko źródłem jego dramatów, ale także pozwala mu odnaleźć prawdę o sobie.

Film „Dzikie róże”, według scenariusza i w reżyserii Anny Jadowskiej, miał swoją prapremierę 5 i 6 sierpnia 2017 roku, na 17. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym T-Mobile Nowe Horyzonty we Wrocławiu.

Fotografie pochodzą od dystrybutora.

Nie wszystko umiera.
14. Millennium Docs
Against Gravity Film
Festival.

Korespondencja z Polski

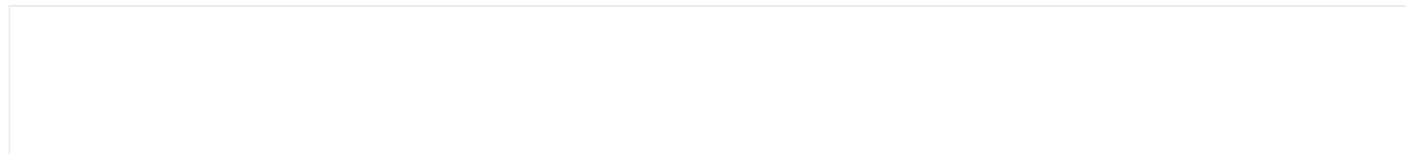


Kadr z filmu „Dawson City. Świat zatrzymany”.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Co roku festiwal filmów dokumentalnych Millennium Docs Against Gravity Film Festival otwiera się na nowe doznania, uwrażliwia na problemy współczesnego świata, ale także niesie pociechę, że pomimo wszystko piękna i dobra nie da się unicestwić i że człowiek i to, co w nim najlepsze, trwa w sztuce, także w sztuce filmowej.

W dniach od 12 do 21 maja 2017 r. odbył się największy w Europie festiwal filmów dokumentalnych: **Millennium Docs Against Gravity Film Festival**. W pięciu miastach: Warszawie, Wrocławiu, Gdyni, Bydgoszczy i Lublinie nie tylko zaprezentowano najnowsze dokumenty z różnych stron świata, ale odbyły się również debaty, spotkania z twórcami i dyskusje. A jeżeli ktoś miał jeszcze czas i energię, mógł po obejrzeniu kilku filmów popląsać w Klubie Festiwalowym CZUŁA JEST NOC i w ten sposób odreagować niezliczone problemy współczesnego świata.



Nagrodzone filmy - „Ostatni w Aleppo” głównym triumfotorem



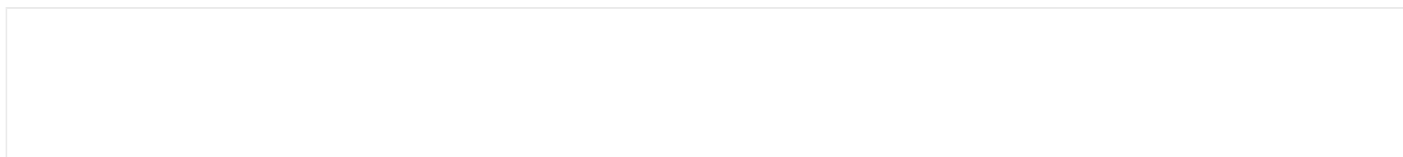
Kadr z filmu „Ostatni w Aleppo”

Jak co roku, jury w poszczególnych miastach wyłoniło najlepsze filmy. W tym roku werdykty zabrzmiały podobnie: w Warszawie zwycięskim dokumentem został film „**Ostatni w Aleppo**” (“Last Men in Aleppo”), w reżyserii **Ferasa Fayyada**, który we Wrocławiu otrzymał nagrodę specjalną za

silny, radykalny, boleśnie prawdziwy głos, który powinni usłyszeć wszyscy; za wstrząsający dokument, pokazujący ludzkie okrucieństwo i odwagę, głupotę i szlachetność; za pokazanie tego, od czego najchętniej odwracamy oczy.

Film Fayyada otrzymał również główną nagrodę w Bydgoszczy, a ponadto Grand Prix - Nagrodę Banku Millennium i 8 tys. euro.

Trailer filmu:



Kadr z filmu „Dobry listonosz”.

Natomiast we Wrocławiu Grand Prix Dolnego Śląska Marszałka

Województwa Dolnośląskiego w wysokości 3 tys. euro przyznano filmowi „**Dobry listonosz**” **Tonislava Hristova**. Jury nagrodziło „Dobrego listonosza” za

umiejętne zogniskowanie w jednym obrazie najważniejszych problemów współczesnego świata: niechęci do uchodźców, mechanizmów populizmu, wymierania wsi, arogancji władzy, starzejącego się społeczeństwa, ubóstwa, problemów przygranicznych społeczności. Jury doceniło wymiar krytyczny filmu, ale i jego doskonałą realizację w ramach gatunku, łączenie publicystyki z literacką przypowieścią, tonu anegdotycznego z realizmem.

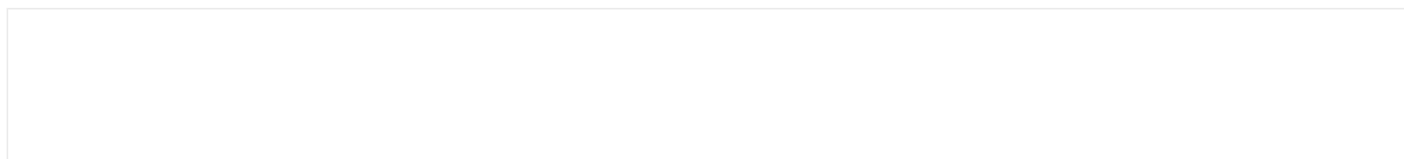
Trailer filmu:

Ten sam film otrzymał na warszawskim festiwalu wyróżnienie *ex quo* z "Safari" Ulricha Seidla.

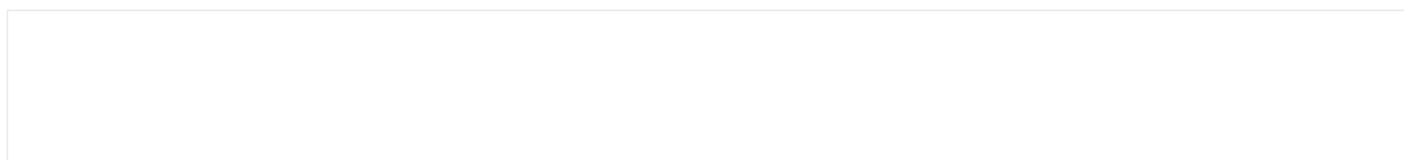
Po raz pierwszy w tym roku festiwalowa publiczność miała

szansę wyróżnić swój ulubiony tytuł. Nagroda Czytelników pisma „Co Jest Grane 24”, którzy głosowali w Warszawie, Wrocławiu, Gdyni i Bydgoszczy wraz z dwoma tysiącami euro powędrowała do **Krzysztofa Pawła Bogocza i Marcina Macuka** za film „**Happy Olo - pogodna ballada o Olku Dobie**„.

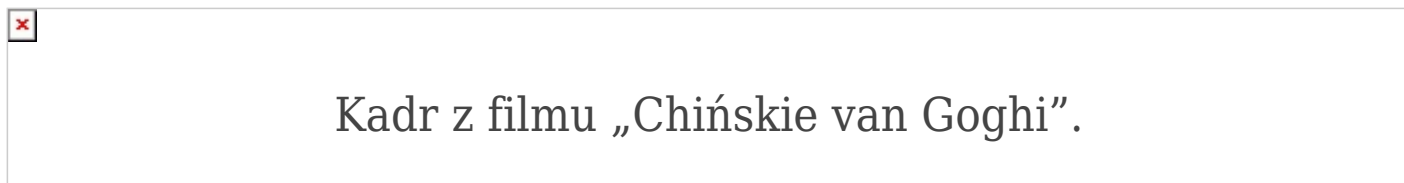
Trailer filmu:



Spośród wielu obejrzanych filmów najmocniej przemówiły do mnie trzy: „Chińskie van Goghi”, „Dawson City. Świat zatrzymany” oraz „Rumple. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki”. Choć nie zostały nagrodzone, (czego nie pojmuję), warte są uwagi i godne polecenia.



„Chińskie van Goghi”, czyli jak zostać... człowiekiem



Chińsko-holenderski film Haibo Yu i Kiki Tianqi Yu opowiada niecodzienną (dla nas, Europejczyków) historię. Otóż w 1989 roku pewien chiński biznesmen przekształcił niewielką robotniczą osadę Dafen w miejscowość... malarzy. Spośród mieszkańców biednych, sąsiadujących z nią wiosek, wybrał - początkowo niewielką - grupę osób, która miała zająć się malowaniem reprodukcji znanych malarzy. Ponieważ zamówień było coraz więcej, kopistów przybywało i obecnie Dafen liczy dziesięć tysięcy mieszkańców.

Na filmie oglądamy setki wiszących na sznurach, jak bielizna, kopii znanych obrazów. Przypomina to bazar w Samarkandzie, tyle, że zamiast wschodnich gobelinów i dywanów wiszą autoportrety van Gogha albo jego "Słoneczniki"...

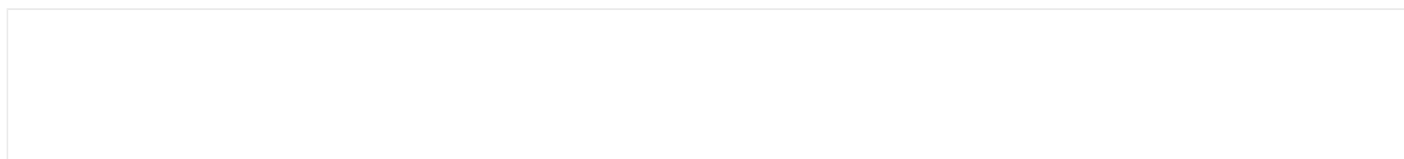
Obserwujemy także życie kopistów i ich rodzin: w pracowniach pełnych farb i wiszących płócien toczy się ich codzienne życie. Tutaj spożywają posiłki, śpią, w pracowni rodzą się i dorastają dzieci... No i przede wszystkim malują, całymi rodzinami - aby sprostać zamówieniom. Czasami trzeba w krótkim czasie namalować około tysiąca obrazów, toteż pracują zespołowo od świtu do nocy. Pracodawca sprawdza jakość kopii, każe poprawiać i ostatecznie płaci jakieś niewielkie pieniądze, które ledwo wystarczają na skromne życie.

Główny bohater filmu - Xiaoyong Zhao kopiuje obrazy od

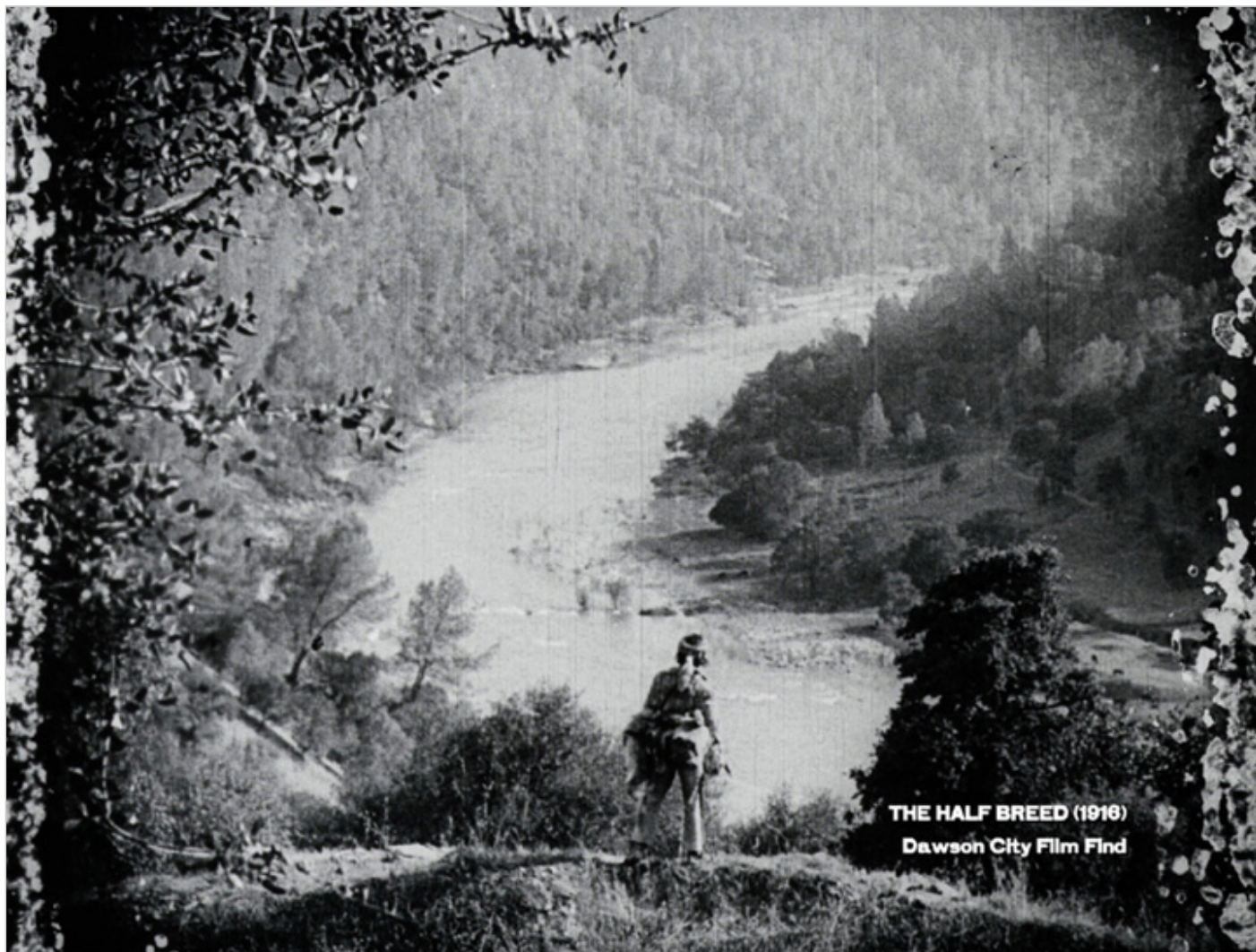
dwudziestu lat, przeważnie prace van Gogha. Pochodzi z biednej wiejskiej rodziny - rodzice zmarli przedwcześnie, żyje jednak jeszcze jego wiekowa babcia, którą z rzadka odwiedza. Poniekąd miał szczęście, znajdując takie zatrudnienie, opanował szybko umiejętność kopiowania obrazów, a potem wprowadził w tajniki tego zawodu braci i żonę. Z czasem udało mu się otrzymać także zamówienia bezpośrednie, od holenderskiego biznesmena, bo - paradoksalnie - najwięcej kopii wysyłanych jest do Amsterdamu, gdzie znajduje się muzeum Vincenta van Gogha. Ponieważ Holender obiecał, że przyjmie go pod swój dach i ugości, byle tylko opłacił sobie podróż, Zhao zaczyna marzyć o wyprawie do Europy. Pragnie zobaczyć naocznie prace artysty, którego kopiuje całe swoje dorosłe życie. Poznaje także jego życiorys. Jest w filmie scena, w której wszyscy kopiści z tej pracowni oglądają z przejęciem film o van Goghu, z Kirkem Duglasem w roli głównej. Widzą, że także był biedny i nieszczęśliwy, że nie mógł sprzedać swoich obrazów i czują, jak jest im bliski. W końcu (sądzę, że przy wsparciu autorów filmu) naszemu bohaterowi udaje się spełnić swoje największe marzenie - leci do Holandii. Po przyjeździe wszystko okazuje się nowe i zupełnie inne, niż to sobie wyobrażał. Zdumiony dostrzega swoje kopie w niewielkim sklepiku z pamiątkami, bo jego holenderski przyjaciel wcale nie jest bogaty. Co więcej, kiedy zauważa, że ceny kopii są kilkusetkrotnie droższe od ceny, którą oferował mu "biznesmen", czuje się oszukany i sfrustrowany, ale stara się tego nie okazywać. Odwiedza nie tylko Muzeum van Gogha, ale również

jedzie na jego grób. Po powrocie opowiada o swojej wizycie w Muzeum van Gogha i niewiele ma to wspólnego z rzeczywistością. W swojej opowieści Zhao jest pełnym godności, uznanym kopistą. Jednakże najważniejsza w tym filmie nie jest sama anegdota o biednym chińskim malarzu niezliczonych kopii znanych obrazów. Otóż pod wpływem tego doświadczenia budzi się w nim ludzka podmiotowość. Odtąd pragnie nie tylko kopiować, ale także malować własne dzieła. W tym celu udaje się do rodzinnej wioski i robi portret babci, a potem maluje pejzaż, w którym wzrastał. Kiedy to robi, ktoś mijający go dziwi się, czemu po prostu nie zrobi zdjęcia, ale on uśmiecha się tajemniczo i mówi, że to nie to samo... Także on nie jest już taki sam. Film piękny, bo ukazujący, jak w człowieku sprowadzonym do poziomu mrówki budzi się godność i podmiotowość. A dzieje się tak pod wpływem sztuki...

Trailer filmu:



“Dawson City. Świat zatrzymany” na taśmie filmowej.



Kadr z filmu „Dawson City. Świat zatrzymany”.

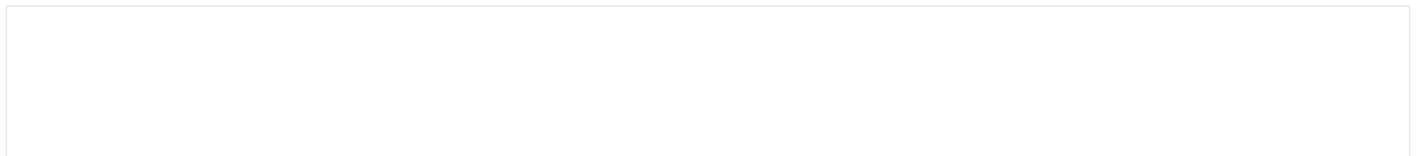
Film **Billa Morrisona** jest niezwykle nie tylko w uwagi na to, że ma cechy filozoficzno-społecznego eseju, ale także dlatego, że cały jest „utkany” z archiwaliów. Reżyser i producent zdobył już uznanie w świecie jako eksperymentator i twórca dokumentów, posługujący się metodą *fund footage*, polegającą na twórczym wykorzystaniu już istniejących materiałów filmowych innych autorów. W Polsce taki filmy zrobił Maciej J. Drygas: „Jeden dzień w PRL” czy „Cudze listy”. I są one znakomite.

Bill Morrison opowiada w swoim filmie historię Dawson City – miasta powstałego podczas tzw. gorączki złota, ale jest to zarazem meta-opowieść o historii kina i o powstaniu Ameryki. Dawson City było początkowo skromną osadą, położoną nad kanadyjską rzeką Yukon. Najpierw zostają z niej wyparci autochtoni, a następnie, w ciągu dwóch lat, liczba mieszkańców osiąga liczbę 40 tysięcy. Przewinęło się przez nią setki ludzi, którzy odegrali potem znaczącą rolę w dziejach popkultury, biznesu i polityki. Ponieważ – w przeciwieństwie do Chińczyków – Amerykanie nie chcą tylko pracować, ale pragną się zabawić, powstają w mieście kinoteatry, które cieszą się wielką popularnością. Kopie filmowe są po seansie składowane w banku (który jest za nie odpowiedzialny), ponieważ przy takich odległościach wysyłanie ich byłoby zbyt kosztowne. Ostatecznie nikt o nie nie dba, składować ich już nie ma gdzie, toteż część zostanie zniszczona, wyrzucona, spalona lub zatopiona. Po latach, w 1972 roku, kiedy zmienne losy miasteczka sprawiły, że kinoteatry przestały istnieć, pewien człowiek odnalazł przypadkiem zakopane taśmy. Blisko 500 filmów trafiło wówczas do kanadyjskich i amerykańskich archiwów i po dziś dzień służą jako nieocenione źródło wiedzy o epoce. W miasteczku, które powstało na skutek "gorączki złota" i gdzie złoża tego cennego kruszcu dawno przestały istnieć, a kopalnie jedynie dokonały ostatecznie dzieła zniszczenia pięknego niegdyś krajobrazu, otóż w tym właśnie miejscu wykopano coś bardziej cennego: zapis ludzkich historii oraz unikalne filmy fabularne, których kopie

nigdzie indziej się nie zachowały.

Film Billa Morrissona jest jednocześnie hołdem dla całej epoki kina niemego. Pojawiają się w nim postacie Chaplina i Arbuckle'a, a także dziesiątki bezimiennych dziś gwiazd. Możemy także zobaczyć, jak tworzyła się tamta rzeczywistość, jak wyglądały trudy pionierskiego życia i jak niezwykła była energia ludzi, którzy wciąż odbudowywali Dawson po kolejnych pożarach. Świat zatrzymany na taśmie filmowej - piękne, poruszające, dające do myślenia kino.

Trailer filmu:



”Rumple. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki”

Wielkie wrażenie zrobił na mnie także kanadyjski film **Catherine Bainbridge i Alfonso Maiorana**, przywracający zbiorowej pamięci wyparty z oficjalnej historii fakt, że to Indianie, a nie - jak dotąd sądzono - Afroamerykanie są twórcami bluesa i jazzu. Sam tytuł filmu pochodzi od charakterystycznego sposobu grania akordów przez Linka Wraya, który dla wielu rockmenów stał się kamieniem milowym rozwoju tego gatunku. Otóż Wray był Indianinem z plemienia Szaunisów. Film uświadamia, że to

Indianie stworzyli amerykańską muzykę, poczynając od ojca bluesa z Deltą - Charleya Pattona, przez królową swingu Mildred Bailey, po legendy rocka: Jimiego Hendrixa i Jesse Ed Davisa, a także Taboo, członka popowego Black Eyed Peas.



Kadr z filmu z Catherine Bainbridge

O tym, że współcześni Indianie odzyskują świadomość swoich korzeni, a także uzasadnione przekonanie o swoim wpływie na kulturę muzyczną Ameryki, świadczą nie tylko wypowiedzi historyków muzyki, ale może przede wszystkim kobiety, które - ubrane w tradycyjne stroje - śpiewają stare pieśni i wykonują je na tradycyjnych instrumentach. Potrafią też rozpoznać indiański

śpiew na płycie Charleya Pattona i w muzyce współczesnych wykonawców. Pięknie mówią o źródłach tej muzyki, która czerpie z krajobrazu – szumu drzew, śpiewu ptaków...

Poza urodą tej muzyki, film nie tylko zmienia obiegowe poglądy, jakoby korzenie bluesa tkwiły w folklorze przybyszów z Afryki. Ci zresztą przemieszali się z ludnością rezerwatów, jak to było w przypadku ojca bluesa – Charlie Pattona. Budujące jest także ukryte przesłanie filmu, mówiące o tym, że kultura Indian nie tylko przetrwała, ale także dała początek i inspirację współczesnym gatunkom muzycznym. Nic nie umiera, rękopisy nie płoną...

Trailer filmu:

Architekt

amerykańskich przestrzeni

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Recenzja filmu dokumentalnego „Mosty Ameryki. Historia Rudolfa Modrzejewskiego” (*Bridging Urban America. The story of Ralph Modjeski*).



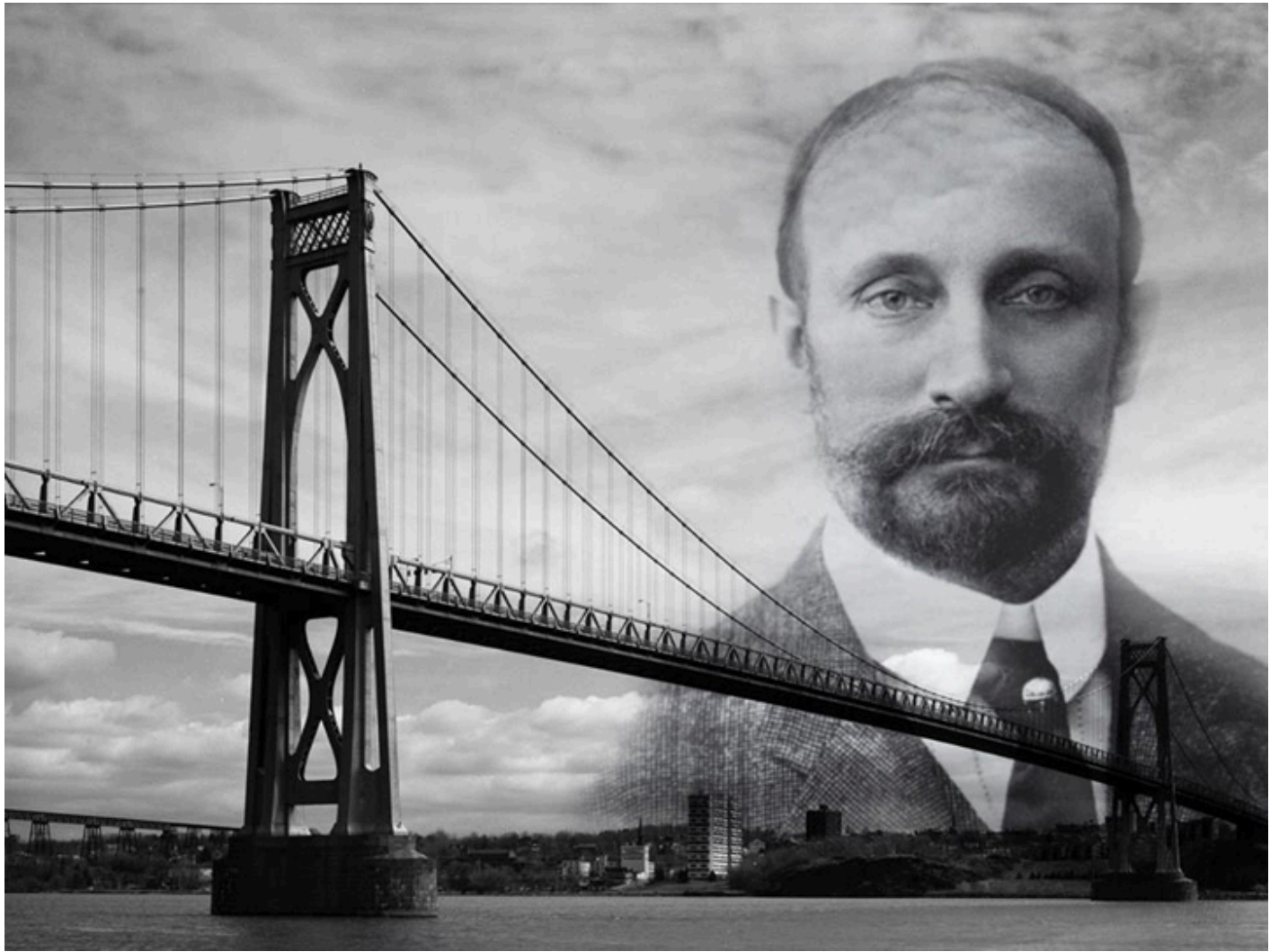
Huey P. Long Bridge na rzece Missisipi w Luizjanie,
zaprojektowany przez firmę Modjeski&Masters, fot. mat.
prasowe za „Kronika Bocheńska”.

Dziewięćdziesięciminutowy film dokumentalny, opowiadający historię słynnego budowniczego amerykańskich mostów, został zrealizowany przez reżyserów z Kalifornii - Basię i Leonarda Myszyńskich z dużym rozmachem, tak pod względem źródłowym, jak i wizualnym. Z filmu nie tylko można dowiedzieć się o życiu Rudolfa Modrzejewskiego, ale też poznać historię myśli inżynierskiej na przestrzeni lat oraz odkryć jak duży wpływ miał rozwój nowoczesnego transportu na wzrost potęgi Ameryki. Ogromne amerykańskie tereny, pocięte potężnymi rzekami wymagały połączeń. Budowa kolei w całej Ameryce spowodowała nagły rozwój wielu odległych od siebie terenów. Jednak warunki klimatyczne, czy geologiczne w różnych miejscach wymagały zastosowania niekonwencjonalnych metod budowy. Olbrzymie skarpy skalne nad brzegami potężnych rzek czy gliniane podłoża dna rzecznego, często powodowały, że tradycyjne projekty zawodziły. Potrzeba było wizjonerskiej i odważnej myśli inżynierskiej. W to zapotrzebowanie wpasował się wybitny konstruktor swojej epoki - Rudolf Modrzejewski.

Urodził się w 1861 roku w Bochni, jako syn, młodziutkiej wówczas, a późniejszej wybitnej amerykańskiej aktorki, Heleny Modrzejewskiej i jej impresaria Gustawa Zimajera. W 1876 roku, w wieku 15 lat wyjechał wraz z matką i ojczymem Karolem Chłapowskim do Ameryki. Matka miała nie tylko niebywały talent, ale i ogromne ambicje oraz rozmach w zdobywaniu nowego świata. „Dolcio”, jak nazywała syna, był jej oczkiem w

głowie, dbała o jego edukację i nie szczędziła na nią pieniędzy. Zabierała go ze sobą na swoje wielomiesięczne tury artystyczne, dzięki czemu Rudolf poznawał ogromne przestrzenie i różnorodne tereny Ameryki. Otaczał się też nieprzeciętnymi ludźmi ze środowiska uwielbianej przez Amerykanów matki.

W filmie biografia Rudolfa Modrzejewskiego została bogato udokumentowana archiwalnymi fotografiami i fragmentami filmów, a narracja prowadzi widza przez kolejne etapy jego życia. Dowiadujemy się, że Rudolf był utalentowanym wirtuozem fortepianu i planował zostać pianistą. Zresztą muzyka towarzyszyła mu przez całe życie i miała wpływ na powstawanie monumentalnych, stalowych konstrukcji. Zdawał do słynnej szkoły budowy dróg i mostów *École nationale des ponts et chaussées* w Paryżu, którą kiedyś ukończył Tadeusz Kościuszko. Niestety nie dostał się za pierwszym razem. Postanowił więc, że swoje życie poświęci grze na fortepianie i ćwiczył przez rok po wiele godzin dziennie. Za drugim razem jednak dostał się na studia, a szkołę ukończył z wyróżnieniem.



Dla Rudolfa konstruowanie mostów w Ameryce było całym jego życiem, ale jego żona Felicja (córka przyrodniego brata Heleny Modrzejewskiej) nigdy nie zaaklimatyzowała się za oceanem i w końcu wróciła do Polski. Późniejszy wieloletni związek Rudolfa skończył się samobójstwem partnerki, która borykała się z chorobą. Po jakimś czasie Rudolf wziął ślub po raz drugi, a że był już wówczas osobą bardzo znaną, szeroko ten fakt komentowały gazety.

Wątek prywatny stanowi jednak tło dla dokonań

konstruktorskich bohatera. W filmie pokazane są kolejne etapy pracy zawodowej i doskonalenie warsztatu konstruktora, tworzenie biur w Chicago i w Nowym Jorku, zapał i wciąż nowe wyzwania. Skrzypienie deski kreślarskiej, zbliżenie kamery na rękę, która przelewa na kalkę techniczną niekonwencjonalne wizje inżynierskie, poparte ogromem wyliczeń, pomaga wczuć się w epokę przed komputerową i pozwala docenić genialność ówczesnych twórców.



Barbara i Leonard Myszynski,
podczas kręcenia filmu, fot.
mat. prasowe za „Kronika
Bocheńska”.

Autorzy filmu dotarli do całej plejady wybitnych fachowców i specjalistów z dziedziny budowy dróg i mostów oraz instytutów naukowych, aby zrozumieć fenomen Modrzejewskiego. Rozmawiali ze specjalistami z takich instytucji jak: National Steel Bridge Alliance, Modjeski and Masters, Inc., New York State Bridge Authority, Oregon Institute of Technology, Smithsonian Institution, National Research Council Canada, Delaware River Port Authority, Poles in America Foundation czy Louisiana Endowment of the Humanities.

Niezwykłe historie powstawania mostów, przy których zaangażowany był Modjeski wciągają widza. Tak było np. w przypadku mostu kolejowego - Government Bridge na Missisipi River w Rock Island, Illinois. Modrzejewski ostrzegał, że prace muszą być ukończone, zanim stopnieje lód na rzece. Ostrzeżenie zostało zignorowane i płynąca rzeką kora lodowa zniszczyła część mostu. Rudolf szybko zareagował i kazał zbudować podnoszony na linie, tymczasowy most zwodzony, aby transport mógł przebiegać bez zakłóceń, a jednocześnie, żeby zyskać czas na odbudowę docelowego mostu.

Słynna jest historia potężnego mostu na rzece Św. Wawrzyńca - Quebec Bridge, w Kanadzie. Zaangażowano Theodora Coopera - architekta, który miał stworzyć most funkcjonalny, a zarazem piękny i wizualnie lekki. Do pracy zostali najęci Indianie z plemienia Kahnawake, którzy nie mieli lęku przestrzeni, byli

zwinni i niebywale szybko się uczyli. W filmie Basi i Leonarda Myszynkich o budowie mostu opowiada prawnuk jednego z Indian. Niestety w 1907 roku most się zawalił, śmierć przy tym poniosło 75 pracowników. Do odbudowy zaangażowano Modrzejewskiego, który już wówczas szczyił się dużą renomą wśród konstruktorów. Modrzejewski poprawił błędy konstrukcyjne, do pracy wykorzystał wykwalifikowanych już Indian i sam nadzorował budowę. Powstał piękny i wytrzymały most, który stoi do dziś.



Leonard Myszynski wraz z operatorem kamery podczas kręcenia filmu, fot. mat. prasowe za „Kronika Bocheńska”.

Modrzejewski był prekursorem konstrukcji mostów wiszących. W zachwyty wprowadził Benjamin Franklin Bridge, o rozpiętości

1750 stóp, uroczyście otwarty w 100-lecie niepodległości, 1 lipca 1926 roku. W tamtych czasach to był nie tylko najdłuższy most wiszący, ale również niespotykane szeroki.

W filmie pokazany jest też most, nazywany później najpiękniejszym mostem Ameryki czyli Mid-Hudson Roosevelt Bridge w Poughkeepsie, na otwarciu którego byli Franklin Delano Roosevelt z żoną Eleonorą, która przecięła wstęgę. Uroczystość z udziałem pary prezydenckiej i Rudolfa Modrzejewskiego widać na archiwalnym filmie, wykorzystanym przez autorów dokumentu.

Film o Rudolfe Modrzejewskim pokazuje wiele odmiennych pod względem warunków środowiskowych miejsc, w których powstały mosty, współgrające z otoczeniem. Takim mostem był m.in. Huey P. Long Bridge w Luizjanie, gdzie potężna rzeka dawała życie, a jednocześnie była zagrożeniem, gdyż zalewała duże tereny. Trzeba więc było wyjątkowej myśli technicznej, aby zbudować most, który współgrałby z otaczającą przyrodą.

Ostatni duży most, w budowę którego zaangażowany był Modrzejewski, mimo, że miał już 75 lat to San Francisco-Oakland Bay Bridge - łączący Oakland i San Francisco. Składał się on z kilku mostów połączonych tunelem i przebiegał ponad zatoką San Francisco, poprzez Yerba Buena Island. Zaangażowany do stworzenia projektu tego niezwykłego mostu, Charles Henry

Purcell poprosił Modrzejewskiego o prywatne zdanie, po czym odrzucił pierwotny projekt Instytutu Hoovera i wykorzystał pomysł Rudolfa.



Mosty Modrzejewskiego stoja do dziś, fot. Galeria na stronie filmu.

Modrzejewski jest twórcą ponad 40 największych mostów Ameryki. Został uhonorowany wieloma nagrodami m.in. Franklin Medal (1922), John Fritz Medal (1930) i Washington Award (1931) za jego nadzwyczajne umiejętności i rozmach w projektowaniu mostów.

W filmie Rudolf Modrzejewski przedstawiony jest jako wizjoner, który ma odwagę rozwijać myśl konstrukcyjną. Wypowiadający się na jego temat specjaliści podkreślają, że konstruktor miał niezwykłą umiejętność improwizowania w trudnych sytuacjach, potrafił też rozwiązywać nietypowe problemy, dlatego angażowano go tam, gdzie inni sobie nie radzili. Uważano go za „showmena”, który umiał zadbać o reklamę. I, jakby to dziś powiedziano, był celebrytą, o którym pisały gazety. Miał ogromną wiedzę inżynierską i precyzję w obliczeniach, dlatego jego mosty stoją do dziś. Dużą rolę w projektowaniu mostów w przypadku Modrzejewskiego odgrywała muzyka. Gra na fortepianie, to umiejętność koncentracji i precyzja, a takie cechy powinien mieć przecież dobry konstruktor.



Przepiękne zdjęcia mostów
robione były z lotu ptaka, fot.
Galeria na stronie filmu.

Na wizualną stronę filmu wielki wpływ mają fantastyczne zdjęcia mostów, robione z lądu, wody i z powietrza. Potężne konstrukcje w blasku słońca z różnych perspektyw uświadamiają widzowi, jak piękne są te podniebne konstrukcje Ralpha Modjeskiego i jak bardzo wtopiły się w krajobraz Ameryki. A muzyka Chopina w tle podkreśla polskie konotacje.

Film jest bogato udokumentowany, zarówno przez źródła archiwalne, jak i wypowiedzi ekspertów, jest też świetnie zilustrowaną historią transportu w Ameryce i jej rozwoju, a także niezwykle piękną dokumentacją dokonań naszego rodaka.

Strona filmu:

<http://bridginguamericafilm.com/index.html>



EMiGRA - filmowa podróż Polaków ze świata



Korzystając z dłuższego pobytu w Polsce z radością przyjąłam zaproszenie na rozpoczęcie najnowszej, IV już edycji festiwalu filmów emigracyjnych EMiGRA, który odbył się w dniach 4-6 listopada 2016 roku w Warszawie.

Jest to niezwykle ciekawe przedsięwzięcie zorganizowane z dużym rozmachem, ukazujące życie Polaków poza krajem. Jest to Festiwal o Polakach na całym świecie i dla Polaków z całego świata. Hasło IV festiwalu to - Kamera na Wschód. Może dlatego na rozpoczęcie Festiwalu wybrano dwa filmy dotyczące Polaków zza wschodniej granicy.

Jako pierwszy pokazany został wielokrotnie nagradzany film „Ojcu” w reż. Liliany Komorowskiej i Diany Skayi, opowiadający dramatyczne losy Polaków mieszkających w przedwojennej Winnicy. Scenariusz został oparty na poemacie autorstwa ciotki Diany Skayi - Aliny Bandrowskiej, opisującym historię jej ojca Adama Bandrowskiego, który zimą 1938 roku został aresztowany przez NKWD. Podzielił on los ponad 13 tysięcy polskich, ukraińskich i rosyjskich mieszkańców Winnicy zamordowanych przez sowieckie władze pod pretekstem zwalczania wrogów ustroju komunistycznego i szpiegostwa na rzecz Polski. Ciała ofiar zakopano w tajemnicy w masowym grobie w winnickim parku.

Drugi film to „Piano” w reż. Vity Marii Drygas, młodej reżyserki o polsko-litewskich korzeniach. Jest to dokument, którego bohaterem stało się pianino, dodające otuchy Ukraińcom na Majdanie. Studentka konserwatorium, Antonetta Mischenko, zobaczyła jak trzech mężczyzn niesie pianino na barykady. W razie strzałów skutecznie chroniłoby przed kulami. Dla młodej

pianistki ten instrument to *sacrum*, musiała więc go bronić. Obiecała przychodzić codziennie na Majdan, aby grać Chopina i hymn Ukrainy. Tak ocaliła pianino. Antonetta Mischenko, piękna czarnoskóra Ukrainka, fenomenalnie grająca na instrumencie, wydobywająca z niego wszystkie możliwe emocje, na pewno zapada w pamięć i serca widzów. W tym poetyckim obrazie zawarta została historia buntu, marzeń o wolności i wiele dramatycznych przeżyć.

Na otwarciu była aktorka, znana z filmów Andrzeja Wajdy i Krzysztofa Zanussiego, mieszkająca w Montrealu Liliana Komorowska wraz ze swoimi rodzicami. Była też Diana Skaya, urodzona w Armenii, mieszkająca w Kanadzie, pięknie mówiąca po polsku dziewczyna o polskich korzeniach, która poruszona historią swojej ciotki i jej ojca, doprowadziła do powstania filmu. Można było też porozmawiać z Vitą Marią Drygas, młodą reżyserką, ze znanej na Litwie filmowej rodziny.

Na otwarciu przybyły media, m.in. TV Polonia wraz z dyrektorką Magdaleną Tadeusiak-Mikołajczak, jak też telewizja z Wilna z programu Wilnoteka.

Pytaniom zadawanym artystom i długim Polaków rozmowom nie było końca. Rozchwytywana była dyrektorka artystyczna festiwalu Agata Lewandowski, która dla każdego starała się znaleźć czas i odpowiedzieć na każde pytanie. Dobrze, że są takie inicjatywy,

bo jednoczą Polaków ze świata i pokazują ich dokonania, mało znane w kraju.

Oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka

EMiGRA 2016

EMiGRA to nie tylko festiwal filmowy, ale przede wszystkim spotkanie Polaków z zagranicy z Polakami z Polski, takimi jak potomek Mikołaja Radziwiłła „Rudego” – Maciej Radziwiłł, który w związku z projekcją filmu *Radviliada*, opowiedział o ponad 600-letniej historii swego rodu.

W części programowej EMIGRY 2016, w ramach współpracy z Muzeum Historii Polski, pokazana została seria filmów o emigracyjnych dziejach Polaków, a w tym dokument Anny Kuśmierczyk o odnalezionych po kilkudziesięcioletniej rozłąki rodzinach – *Tak daleko, tak blisko*. Podczas EMIGRY poruszone zostały też aktualne tematy nurtujące Europę, takie jak losy uchodźców. W filmach *Dzieci Isfahanu* w reżyserii Artura Witoszka oraz *Iran – druga ojczyzna* w reżyserii Moniki Antkiewicz przypomniane zostały często nieznane wojenne losy Polaków. Ponieważ Polacy mieszkają wszędzie i osiągają za granicą sukcesy zawodowe – tak jak Krzysztof Komeda w filmie Claudii Buthenhoff-Duffy *Komeda – Ścieżki życia*, czy Janusz Głowacki w filmie Rafała Mierzejewskiego *Depresja mon amour* albo Yoram Jerzy Gross – polski rysownik, którego animacje

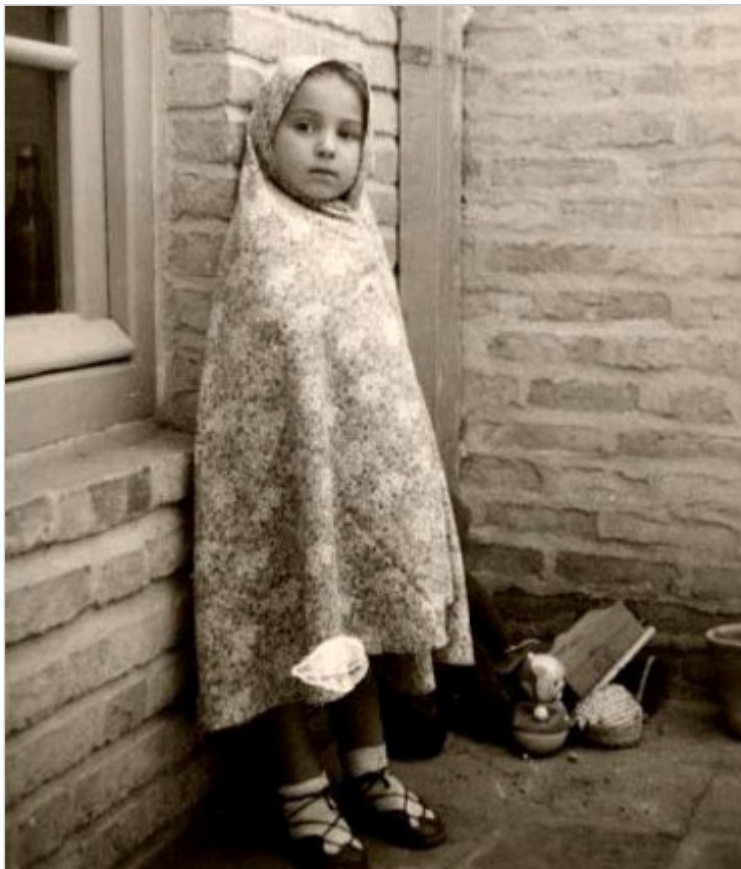
kochają dzieci w całej Australii, przedstawiony w filmie Tomasza Magierskiego *Krakowiaczek ci ja*.

Tematy emigracyjne coraz częściej pojawiają się we współczesnym polskim kinie, dzięki czemu pokazane zostały trzy pełnometrażowe filmy fabularne, w tym *Kosmos* w reżyserii Andrzeja Żuławskiego, *Wołyń* w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego i *Obce Niebo* w reżyserii Dariusza Gajewskiego. W trakcie EMIGRY 2016 rozpoczął się cykl wykładów o współczesnym kinie polskim skierowany przede wszystkim do Polaków za granicą. Międzynarodowe jury oceniło ponad 30 filmów, które wpłynęły na konkurs EMIGRA 2016 z wszystkich kontynentów, zrealizowanych przez profesjonalistów, twórców offowych, studentów szkół filmowych, a także przez młodzież polską żyjącą za granicą. Nagrody złotej, srebrnej i miedzianej EMIGRY 2016 zostały rozdane 6 listopada w Oranżerii Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie.

Przegląd nagrodzonych i wyróżnionych filmów

Filmy nagrodzone EMIGRA 2016

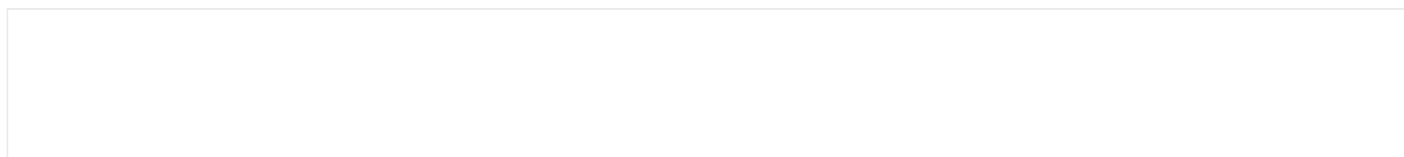
***Mój irański raj*, reż. Anette Mari Olsen i Katia Forbert Petersen, produkcja: Dania/Polska, 2008,**



Kadr z filmu „Mój irański raj”.

Dla mnie Iran jest najszczęśliwszym miejscem pod słońcem. Tu spędziłam pierwsze 22 lata mojego życia – mówi autorka filmu Anette Mari Olsen. Dzisiaj, po trzydziestoletniej nieobecności w kraju swojego dzieciństwa, powraca z kamerą, by pokazać jego przeszłość i teraźniejszość. Swoją historię rozpoczyna od opowieści o rodzicach – duńskim inżynierze, współtwórcy linii kolejowej, która w latach 30. XX wieku połączyła północ z południem Iranu, oraz Polce, którą wojenna zawierucha rzuciła najpierw na Syberię, później do Kazachstanu i w końcu do Teheranu. Ta fascynująca podróż w czasie spleta się z obrazami

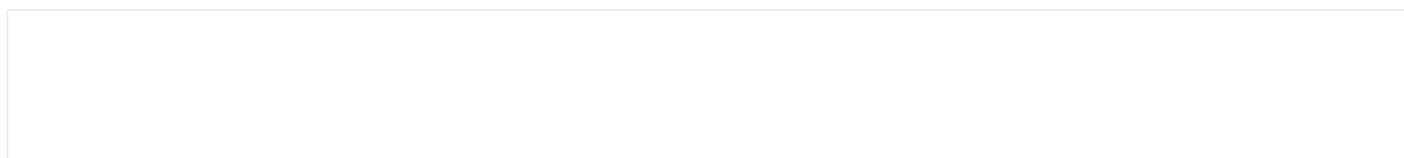
współczesnego Iranu i - trzeba przyznać - jest to wyjątkowo gorzkie połączenie. Wystarczy spojrzeć na plażę, którą duńska reżyserka odwiedzała w dzieciństwie. Niegdyś tętniący życiem kurort to obecnie zdewastowane pustkowie przegrodzone wysokim murem, oddzielającym części przeznaczone dla kobiet i mężczyzn. □Dzięki imponującej dokumentacji (zawierającej m.in. materiały Filmoteki Narodowej), Anette Mari Olsen i Katii Forbert Petersen udało się stworzyć film, będący z jednej strony opisem przemian, jakim podlegał Iran w ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat, z drugiej zaś - intymnym portretem osoby pozbawionej ojczyzny. Anette Mari Olsen mówi biegle po duńsku, polsku, angielsku i w farsi, ale nigdzie nie czuje się u siebie. Jak mówi jedna z jej rozmówczyń: „Kto raz stał się uchodźcą, pozostanie nim na zawsze”.



***Na barkach lwa*, reż. Patryk Rębisz,
produkcja: Polska/ USA, 2015**



Bogaty wizualnie film dokumentalny *Na barkach lwa* przedstawiając historie trzech artystów, którzy utracili zmysł definiujący ich sztukę. Film opowiada o znaczeniu obrazów, fragmentarycznej naturze naszych wspomnień i jak nasza świadomość kształtuje to kim jesteśmy w dzisiejszym świecie. Niewidoma fotografka zastanawia się nad siłą obrazów w dzisiejszej nasyconej wizualnie kulturze; muzyk zmuszony porzucić marzenia o graniu z powodu utraty słuchu szuka dla siebie nowej przyszłości; były bokser i malarka (jej historia stała się inspiracją dla oscarowego filmu Clinta Eastwooda *Za wszelką cenę*) szuka swojego miejsca w życiu po utracie połowy mózgu.



***Polak brazylijski*, reż. Basia Jendrzejczyk, produkcja: Polska/Brazylia, 2016**

Reportaż z bardzo dalekiego kraju, gdzie można usłyszeć mowę polską, pomimo, że osoby posługujące się polszczyzną, dawno nie były w kraju, a są i tacy którzy tylko o Polsce słyszeli. Mikołaj Rykowski, społecznik z Chorzowa, zorganizował świąteczny obiad dla Polonii właśnie w Brazylii. O tym jak żyje się naszym rodakom tak daleko i o tęsknocie za korzeniami można zobaczyć w tym reportażu.

***Śledztwo*, reż. Ena Kielska, produkcja: Polska, 2016**

Prywatny detektyw przyjeżdża do Miasta, by rozwiązać mroczną tajemnicę seryjnych zaginięć jego Mieszkańców. Po drodze spotyka dziwnych nieznajomych. Czy uda mu się zmierzyć z niebezpieczeństwem?

***Dawno temu na Śląsku*, reż. Tomasz Protokowicz, produkcja: Polska, 2015**



Kadr z filmu „Fawno temu na Śląsku”.

Bracia bliźniacy, Rysiek i Stefan żyją w prowadzonym przez zakonnice sierocińcu. Znajduje się on w małym miasteczku na Śląsku, gdzie obok siebie żyją Polacy i Niemcy. Mają pecha dorastać w jednym z najpodlejszych okresów w historii tego miejsca, w okresie III Rzeszy. Wkrótce ich drogi rozejdą się, aby skrzyżować się za kilkanaście lat, w niezwykle nieprzyjemnych okolicznościach.

Filmy wyróżnione EMIGRA 2016

***Pocztówka z Zaolzia* reż. Izabela Wałaska, produkcja:
Czechy, 2015**



Kadr z filmu „Pocztówka z Zaolzia”.

- Różni ich zawód, który wykonują oraz miejsce, w którym obecnie mieszkają. Co jeszcze dzieli lub łączy naszych bohaterów, można dowiedzieć się z filmu, który przedstawia ich poglądy na tematy związane z Zaolziem, Czechami, Polakami - tak w skrócie opisują film jego twórcy.

Pomysłodawcą, scenarzystą i producentem filmu jest znana z projektu *Zaolzie potrafi* Izabela Wałaska, a film zrealizował Luděk Ondruška, filmowiec z Czeskiego Cieszyna, znany m.in. z okładki „Zwrotu”.

***Wygrać z przeznaczeniem*, reż. Marek Lechowicz,
produkcja: Polska, 2015**



Kadr z filmu „Wygrać z przeznaczeniem”.

Mało znana historia grupy 730 polskich dzieci – ofiar zsyłek syberyjskich z 1940 r. Dzieci te dotarły do tworzącej się w ZSRR armii gen. Władysława Andersa. Razem z wojskiem przeszły przez Turkmenistan do Iranu. Tam trafiły do domów dziecka, początkowo w Teheranie, a następnie w Isfahanie. Losem dzieci

zainteresował się ówczesny konsul II RP w Nowej Zelandii, pan Wodzicki. To z jego inicjatywy pomoc dzieciom zaoferował rząd Nowej Zelandii. Dzieci zostały zabrane z Iranu i przetransportowane do Wellington. W zdecydowanej większości pozostały tam. Film opisuje ich losy. Wykorzystano zdjęcia archiwalne i te zrobione współcześnie w Nowej Zelandii i Polsce (z udziałem grupy rekonstrukcyjnej). Walory artystyczne filmu podkreślają elegie zbudowane z animacji malarstwa Zdzisława Beksińskiego i poezji Zbigniewa Herberta.

***Dead*, reż. Martina Trepczyk, produkcja: Austria, 2015**



Kadr z filmu „Martwy”.

Czarny jest kolorem umysłu i jezior. Rozdarty pomiędzy uwolnieniem i rozpoczęciem, pomiędzy kruchością i determinacją film, jest podzielony poprzez odbijającą powierzchnię wody...

Martina Trepczyk, urodzona w 1990 w Salzburgu, ukończyła grafikę w Linzu, studiowała reżyserię w Londynie, mieszka i pracuje jako twórca filmów w Wiedniu.

Repin, reż. **Sofija Skidan**, produkcja: **Rosja**, 2016



Kadr z filmu „Repin”.

Główny bohater filmu - Sergej, w ciągu jednej nocy przewija się przez różne klasy społeczne. Obserwuje różnicę między nimi, ale ku swojemu rozżaleniu odnajduje także, to co ich łączy, na przykład egoizm czy obojętność. Film przypomina jak ważne jest pozostawać człowiekiem w każdej sytuacji. Dotyka również tematu samotności, rozpaczy i stawia wprost pytanie: poddawać się chorobie czy walczyć o życie?

***Disconnected*, reż. Ben Talar/Ricardo Gonzalez, produkcja: Polska/Wenezuela, 2015**

Historia lubi się powtarzać. 25 lat po upadku muru berlińskiego świat jest nadal podzielony, a ludzie wyobcowani poprzez ściany sieci społecznościowych. Los na krótką chwilę przetnie ścieżki czterech postaci. Czy historia znów zatoczy koło?

Artysta zмага się z rewolucyjnymi pracami na wystawę. Biegacz stara się trzymać tempo skupiając się na muzyce. A Ona po kolejnej jedno nocnej przygodzie szuka ekscytacji w shoppingu i pozowaniu do selfie. Jedynie Turysta stara się być świadomym miasta i jego skomplikowanej historii dotyczącej Niemców, Żydów, Palestyńczyków i Amerykanów. Ale nawet on jest przegrany w starciu z kołami historii.

***Heart of Hate*, reż. Daniel Witkowski, produkcja: USA, 2014**

Eric – lojalny Neo-Nazista, zakochuje się w Ayla, dziewczynie ze środkowego wschodu. W tym samym czasie brat Erica – Carl, lider grupy Neo-Nazistów, planuje inicjację do wyższej rangi dla Erica.

***Stacja Emigracyjna w Mysłowicach*, reż. Karol Wieniawski, produkcja: Polska, 2016**

Film dokumentalno-historyczny, fabularyzowany. Jego celem jest zwrócenie uwagi oraz przypomnienie o istnieniu największej stacji emigracyjnej z przełomu XIX i XX wieku w Europie Środkowo-Wschodniej, przez którą przeszło 1,4 mln ewidencjonowanych emigrantów zamorskich. Byli to emigranci głównie z Królestwa Polskiego, Galicji, Europy Wschodniej i Południowej. Zabudowania po stacji emigracyjnej częściowo stoją po dziś dzień w Mysłowicach na Górnym Śląsku.

www.emigra.com.pl

.